

Tadeusz Zieliński

Stronica o miłości i stronica o śmierci à la polonaise (z teki pośmiertnej)

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 31, 143-164

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Tadeusz Zieliński

STRONICA O MIŁOŚCI I STRONICA O ŚMIERCI
À LA POLONAISE*

I

Zanim rozpocznę to studium od wyjaśnienia tytułu, pragnę zaznaczyć, że nie czynię tego jedynie przez obowiązek wykładowcy. Dwa słowa, których tu użyłem – miłość i śmierć – są zupełnie jednoznaczne, wszyscy wiedzą, co one oznaczają. Miłość to radość życia, śmierć to destrukcja. Wszędzie, gdzie są istoty żywe, począwszy od ludzi, te dwie siły są wyczuwalne: kochamy, aby rozszerzyć życie poza jego naturalne granice, bronimy się przed śmiercią, aby przedłużyć jego trwanie poza jego naturalne granice, oto dwa powszechne cele uznawane same w sobie, jeżeli chcemy mówić o powszechnych dążeniach wszystkich ludów. [...] Zapytają Państwo, co rozumiem przez owo zastrzeżenie *à la polonaise*? Czy to przez przypadek ograniczam się do spraw dotyczących narodu polskiego? Taka wyłączość byłaby oczywiście absurdem. Mam do powiedzenia jedynie to, co następuje. Te dwie siły, o których mówię, nie działają same, najczęściej są one wspierane bądź powodowane przez wiele innych, i wynik tych wszystkich działań pośrednich lub przeciwdziałań składa się w rozmaitych przypadkach, mówiąc prozaicznie, na rozliczne wieloboki sił, łącznie z tymi, które znoszą działanie siły głównej i nadrzędnej. No tak, powiecie Państwo, zakochany rezygnuje z miłości, kiedy przedmiot jego umiłowania jest dla niego niedostępny z przyczyn fizycznych lub moralnych, żołnierz rezygnuje z rato-

* Publikujemy z niewielkimi skrótami odnaleziony przez dr Hannę Geremek w archiwum, Rosyjskiej Akademii Nauk w Petersburgu (sygn. ПФ А РАН, Ф. 977, on. 1, g. 5) tekst napisany w języku francuskim przez profesora Tadeusza Zielińskiego (1859–1944) pt.: „Une page d’amour et une page de mort à la polonaise.”

Tekst ten, pochodzący najprawdopodobniej z roku 1940, wskazuje na rozległe zainteresowania znakomitego uczonego, który był nie tylko filologiem klasycznym, ale humanistą, podejmującym różnorodne tematy egzystencjonalne w sposób oryginalny, przedstawiając je na szerokim tle kultury europejskiej.

wania życia, jeżeli obowiązek większy i bardziej święty wymaga od niego ofiary. Tak dzieje się wszędzie, chciałbym więc ustanowić różnicę narodową w tym, co jest właściwe wszystkim narodom godnym tego miana.

Proszę wybaczyć, ale właśnie to chciałem uczynić, nie naruszając oczywiście godności innych narodów. Podczas mojego długiego życia miałem okazję przeanalizować wiele takich równoległoboków sił [...] i były wśród nich takie, o których musiałem rzec: to jest typowo polskie. To jest właśnie to badanie i wynik, do jakiego doszedłem, i o nim pragnąłbym mówić podczas dzisiejszej konferencji.

Ale, pytalibyście Państwo dalej, skąd bierze pan pewność, że równoległobok, o którym chce pan mówić, jest naprawdę polski? Znalazł go pan u siebie, przypuścimy, ale czy porównał go pan z tymi, które mógłby pan znaleźć u innych nacji? Proszę mi wybaczyć, ale to zastrzeżenie wydaje mi się śmieszne. Jest rzeczą oczywistą, iż żadne życie, choćby nie wiem jak długie, nie wystarczy dla przeprowadzenia takiej statystyki. Nie, metoda, jaką przyjąłem, nie jest oparta na logice ścisłej i surowej. Znacie Państwo różnicę między definicją logiczną i definicją typologiczną. Ta, którą chciałem Państwu zaprezentować, należy do tej ostatniej kategorii. Nie będę wprowadzał statystyki, przedstawię jedynie przykłady: stronicę o miłości i stronicę o śmierci, a przykłady te wydają mi się typowe.

Jeszcze jedna uwaga wstępna, ostatnia już: na jakiej podstawie uważam, że te dwa przykłady mają charakter typowy? Odpowiadam: wydaje mi się, że posiadam w moim umyśle coś w rodzaju czarodziejskiej pałeczki. Kiedy przechodziłem obok przykładów, o których chcę mówić, czułem drżenie owej pałeczki i owo drżenie powiedziało mi: to akurat jest polskie. Zresztą zobaczycie to Państwo w praktyce.

II

Dzięki Bogu, nasza literatura polska, zarówno poezja, jak i proza, nie odgrywają już we Francji melancholicznej roli pięknej nieznanym; dzięki Bogu, a także dzięki całej plejadzie ludzi dobrej woli, tak Polaków, jak i Francuzów, którzy propagowali wiedzę o niej z wciąż wzrastającym oddaniem. Jednakże, mimo tego poświęcenia i niewątpliwych sukcesów, nie sądzę, by poeta, którego pragnę zaprezentować moim słuchaczom w tym rozdziale, był znany choćby z nazwiska. Ten poeta to Antoni Malczewski, współczesny Mickiewiczowi, nieco od niego starszy, oficer armii napoleońskiej, który został poetą po tragicznym odwróceniu tejże armii i podwójnie tragicznych dla Polski skutkach tego odwrotu.

Dla nas Polaków Malczewski jako poeta pozostaje zresztą autorem jedyne­go poematu, który kochamy, poematu epickiego pod mało znaczącym tytułem *Maria*. Zaliczamy ten poemat do poezji romantycznej, której wspaniały rozwój przypada w Polsce, jak zresztą w całej Europie, na epokę ponapoleońską, zwaną reakcją, epokę, która w niej znajduje usprawiedliwienie. Świadomość obowiązku społecznego nie jest jeszcze mocno wyczuwalna, można spotkać naturalnie życie na koszt innych, trwonienie majątków nabytych przez przodków, tak drogą uczciwą, jak i nieuczciwą, i rozpaczliwy wzrost zadłużenia majątków dziedzicznych. Przede wszystkim bowiem należy żyć; a żyć, to wydawać. I jeżeli ma się dodatkowo ładną twarz, urzekający wdzięk wymowy i atrakcyjne maniere, wszystko to, co czyni z młodego człowieka ulubieńca towarzystwa, faworyzowanego przez swoich przełożonych i rozpieszczanego ulubieńca dam, można uważać, że jest się na samym szczycie w pożądanym przez siebie trybie życia.

Był to w szczególności przypadek Malczewskiego, ale było w nim jeszcze coś innego, czemu zawdzięcza pamięć potomnych. Mówię oczywiście o jego talencie poetyckim. Ten talent poprowadził go na właściwą drogę, każąc mu przywoływać przed jego oczami, i przed oczami jego czytelników obraz dawnej Polski pełen groźnych postaci magnatów, którym wszystko było wolno oraz smutny zarazem z powodu ludzi pokornie cierpiących i zrezygnowanych. Takich poetyckich kreacji nie zapomina się i *Maria* Malczewskiego pozostała w naszej literaturze pięknym pomnikiem epoki, która poprzedza o sto lat naszą, pomnikiem zarówno poetyckim jak i historycznym, i dzięki tym dwóm cechom – narodowym.

Zresztą, przywoławszy przed Państwa oczami sympatyczną postać naszego poety, muszę ją na nowo ukryć, stronica o miłości, którą chciałbym wskrzesić, nie została napisana przez niego. Nie dlatego, że nie miał on własnej stronicy, przeciwnie, miał ich wiele; po licznych miłostkach rozpieszczanego chłopca nastąpiła miłość fatalna, straszna i mesmerowska. Ale właśnie ta miłość, która spowodowała jego przedwczesną śmierć, nie miała w sobie nic narodowego – zawdzięczał ją wpływom zagranicznym, podobnie jak cały mesmeryzm, z którego wyszedł. Nie, poeta Antoni Malczewski był wystarczająco międzynarodowy w tym względzie i nie miałbym okazji wymienić go tutaj, gdyby nie fakt, że mimo wszystko pozostał synem swoich rodziców. Ten ostatni fakt podkreślił jego biograf; ów biograf to mój przyjaciel, Józef Ujejski, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, zmarły trzy lata temu, co stanowi wielką stratę dla nauki polskiej. Nie trzeba dodawać, że właśnie jego książce o Antonim Malczewskim, dziełu odznaczającemu się wielką erudycją i głęboką wnikliwością psychologiczną, zawdzięczam szczegóły, które pozwałam sobie Państwu zaprezentować. Dlatego powtarzam, jeśli mówię tutaj o Malczewskim synu, to dlatego, że w swojej duszy odzwierciedla on duszę swoich rodziców. Ujejski również opisu­je nam tę ostatnią z powodu wpływu, jaki wywarła ona na psychikę syna.

Dla nas liczy się odwrotny kierunek rozumowania: dusza poety interesuje nas jako materiał do rekonstrukcji duszy ojca. Ojcem interesuje się nie tylko historia literatury mojego kraju, ale on sam stanowi dla nas specjalny przedmiot zainteresowania jako niezależny bohater strony o miłości, do czego obecnie przechodzimy.

III

Nazywał się on Jan Malczewski i był starszym synem niejakiego Ignacego Malczewskiego, dobrego administratora majątku i twórcy znacznej fortuny, którą jego synowie będą trwonić na wyścigi. A ponieważ najlepszym środkiem do osiągnięcia tego celu była kariera oficerska, Jan Malczewski wstępuje do wojska. Kiedy zmarł jego ojciec w 1779 r., był on już, jak mówi Ujejski, „przyzwoicie obdłużonym rotmistrzem kawalerii narodowej”¹.

Sprawy potoczyły się jeszcze lepiej, kiedy zostawszy dziedzicem nabył godność szefa regimentu piechoty. Piastował jeszcze tę godność kilka lat, kiedy w 1790 r. został do tegoż regimentu przeniesiony pułkownik Filip Hauman, którego nazwisko niemieckie nie stanowiło przeszkody ani dla jego polskiej narodowości, ani dla jego kariery wojskowej, w której wybił się na jednego z najlepszych generałów Kościuszki.

Na nieszczęście pułkownik Hauman był żonaty, a jego żona pochodząca ze słynnego kręgu uwodzicielek warszawskich, mimo licznego potomstwa, jakie miała podczas jedenastu lat swojego małżeństwa, nie była w żadnej mierze wzorem wierności. Pułkownik był dobry, ale dowódca regimentu jeszcze lepszy. Nie możemy tutaj dokładnie analizować przemian, jakie się dokonały w duszy pani Konstancji, bo tak też się ona nazywała w przeciwieństwie do swego charakteru, i jeżeli Jan Malczewski posiadał urok, który będzie szczęściem, a następnie nieszczęściem dla jego syna, sprawa staje się prosta. To on właśnie, zakochawszy się w Konstancji, zmusił ją do opuszczenia swojego męża, ona zaś uczyniła to w sposób jeszcze bardziej okrutny, pozbawiając go na dodatek skromnego majątku, jaki posiadał. Znamy na dodatek listy, jakie obydwójce małżonkowie wymienili między sobą bezpośrednio po zerwaniu, świadczą one wyraźnie o delikatności męża i braku jakiegokolwiek delikatności ze strony małżonki. Hauman stara się za wszelką cenę oszczędzać niewierną żonę, nie wmawia jej zdrady, obwinia tylko „zdrajcę niepocziwego, który szuka chluby, że cię tak uwieść potrafił”. List żony natomiast jest pełen najbardziej brutalnych obelg skierowanych do tego, którego już obraziła swoim postępowaniem.

Nie, już nic nie można było zmienić, po rozpadzie małżeństwa pozostawał rozwód. Aby doprowadzić sprawę do końca, Konstancja, zgodnie z obyczajami epoki, udała się do jednego z klasztorów w Warszawie na odosobnienie. Zdruz-

gotany mąż nie sprzeciwiał się. Jego stan oficerski pozostawiał mu inną drogę do odzyskania swojej godności małżonka: pojedynek na śmierć i życie z tym, który go jej pozbawił. Ale król Stanisław August wyraźnie tego zabraniał i Hausman, chociaż był dzielnym pułkownikiem, musiał podporządkować się tym rozkazom i zrezygnować z jedynej satysfakcji, jakiej mógł się domagać. W rezultacie sprawa została doprowadzona do końca: Konstancja stała się panią Malczewską. W tym nowym stanie małżeńskim urodziła jeszcze dwóch synów: Antoniego, przyszłego poetę, którego już znamy i jego młodszego brata Konstantego. Starszy zdawał się odziedziczyć rysy swojej matki, a charakter tej ostatniej nie wróżył nic dobrego w przypadku, gdyby stała się ona jego wychowawczynią. Ale los oszczędził im obojgu tego niebezpieczeństwa: mały Antoni miał zaledwie siedem lat, kiedy zmarła jego matka. [...]

IV

Konstancja Malczewska musiała wywierać nieodparty urok na osoby w jej otoczeniu, jej śmierć była olbrzymim ciosem dla jej drugiego męża. Przygnębiony bólem zaczął się zastanawiać: czy w nieszczęściu, jakie go dotknęło, nie należało się doszukiwać kary Bożej? Sprawiedliwej kary, oczywiście, ponieważ Bóg jest sprawiedliwy. Ale musiał również uznać swoją winę z przeszłości, przez którą zawładnął mieniem należącym do innej osoby. Jego myśli coraz bardziej poczynąły krążyć wokół sprawy, którą odtąd musiał uznawać za największy grzech swojego życia. On sam nie został jeszcze ukarany – król zabronił słusznego odwetu ze strony znieważonego małżonka. A Bóg tolerował to przez pewien czas, ale nie na długo. I oto nadszedł czas pokuty. Bóg odebrał mu to, co przywłaszczył sobie wbrew jego woli. Dręczony tymi myślami przypomniał sobie tego, który przed nim kochał jego Konstancję, i który ją utracił wskutek jego grzechu. Napisał więc następujący list, który na szczęście się zachował.

„Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Wyrok najwyższego Boga, przez śmierć najukochańszej żony mojej w takim mnie pograżył smutku przepaści, że nad tym tylko myślę, czym tak wykroczyłem, że na takie zasłużyłem ukaranie. Nic więc w życiu moim tak występne znaleźć nie mogę, jak to, że m targnął się zerwać związki, które Go łączyły z przeszłą żoną moją i że z tego powodu stałem Mu się okazją do wycierpienia niezmierniej zgrzyoty. Stoi więc to dzień i noc przed oczyma, a zgrzyota moja, której ani czas zmniejszyć nie potrafi, wystawia mi przed oczyma [zwróćmy uwagę na zbyt wysubtelnioną stylistykę tego bezpośredniego świadectwa wyrzutów sumienia] czelność duszy mojej i tym więcej pomnaża zgrzyotę moją. Udaję się do niego jako do człowieka, którego uczciwość była i jest prawidłem, abys się nade mną zlitował, abys mi przebaczyć raczył, abys mi winy i wykroczenia zapomnieć i darować raczył. O! żebyś wiedział jak nieszczęście mnie zgębiło, w jakiej sytuacji dni mojego życia od momentu śmierci tej najukochańszej kobiety prowadzę, nienawiść Twoja pewno w litość by się obróciła. Padam więc przed Tobą na kolana,

zebrzę Twego miłosierdzia, abys mi moje darował winy, abys mi swoją powrócił przyjaźń, może gdy będę mniej sobie miał do wyrzucenia, może czyli nie spokojniej doczekam momentu śmierci mojej; jeżeli zaś Twoja niechęć do mnie, a niechęć sprawiedliwa jest tak mocną, że nigdy darować mej winy nie możesz – odbierz mi życie, każ mi się z Tobą widzieć i stań się autorem zejścia mego, odbierając mi życie, które mi jest ciężarem niezmiernym. Przyłączam zapis uczy-niony, racz JWPan Dobrodziej nie odrzucać tę moją małą dla dzieci Jego przysługę i racz wierzyć, iż nikt nie jest nieszczęśliwszym ode mnie i nikt więcej jak ja żałować nie może błędów².

Taki jest ten list, który proszę potraktować jako dokument osobisty i jako coś więcej – dokument narodowy, bezpośrednią spowiedź duszy polskiej. [...]

I jest to prawdziwe z dwóch punktów widzenia: najpierw punktu widzenia autora, następnie z punktu widzenia tego, do którego się zwracano.

V

Porozmawiajmy najpierw o tym ostatnim, to jest o generale Haumanie. Zauważą Państwo sprawę niezwyklej delikatności zawartą w ostatnich liniijkach listu: mowa w nich jest o zapisach autora na rzecz dzieci odbiorcy listu. Wiemy z innych źródeł, że zapisy te opiewały na sumę trzydziestu tysięcy złotych polskich – kwotę dość znaczną. Nic bardziej naturalnego ze strony dawcy: dzieci, które miały korzystać z jego hojności, były przede wszystkim dziećmi kobiety, którą kochał, którym zrujnował dzieciństwo w ich naturalnej rodzinie. Słusznie, ale skoro były one jeszcze nieletnie, sumę ofiarowaną przez drugiego męża ich matki musiał podjąć ich ojciec. Pojawiło się pytanie: czy generał Hauman mógł przyjąć ten dar, nie plamiąc swego honoru oficera, szlachcica i – skończmy z tą kwestią – ogólnie mówiąc człowieka uczciwego? Czy sam nie naraziłby się na wyrzuty, gdyby przyjął ten rodzaj odszkodowania za hańbę swojej żony i siebie samego?

To była oczywiście przyczyna, dla której jeden ze współczesnych biografów poety Malczewskiego, niejaki Antoni J. twierdził, że generał Hauman nie mógł przyjąć tychże zapisów – do tego stopnia był pewien, że honor na to nie pozwalał.

Ale okoliczności, w jakich ta propozycja była uczyniona, przedstawiały również sprawę z drugiej strony. List drugiego męża świadczył o tak głębokim pragnieniu pokuty, że adresat byłby postawiony wobec bardzo okrutnej alternatywy: odmówić, byłoby to trwać w nienawiści wobec człowieka już i tak wystarczająco ukaranego przez los, czy raczej, wedle jego własnego powiedzenia, przez Boga. Człowiek bowiem nie powinien przedkładać swoich własnych sądów ponad wyroki Boże. Przyjęcie natomiast równałoby się wybaczeniu. Hauman wybaczył, to znaczy zgodził się. I wydaje mi się, że wobec okoliczności, które znamy, żaden chrześcijanin nie powinien go potępiać. Zgodził się, mówi Ujejski

– bardziej obeznany z tą sprawą niż biograf wymieniony przed chwilą – to znaczy – ciągnie dalej – wybaczył. Oczywiście, gdy Bóg przemówił, człowiek musi milczeć.

Zresztą pasuje to raczej do generała Haumana – i to również jest polskie. Jeszcze bardziej charakterystyczna, ale również bardziej skomplikowana jest sprawa nieszczęśliwego rywala w swoim sukcesie. Odebrał swojemu bliźniemu dobro, które należało się tamtemu według prawa i Bóg mu je odebrał. Aby rozważyć sprawę tego rodzaju, trzeba mieć duszę przenikniętą religią, i oczywiście Polska miała taką duszę, była ona wynikiem wychowania religijnego, które cały naród odebrał w XVII wieku. Nie chciałbym być źle zrozumianym, ten wiek nie należy raczej do najbardziej chwalebnych w moim kraju. Obarcza się go odpowiedzialnością za upadek kultury duchowej, zwłaszcza literatury, która tak źle spełniła oczekiwania wywołane wspaniałym rozkwitem renesansu polskiego w szesnastym wieku. Ostatnie badania zmieniły pod niejednym względem ten surowy osąd, w szczególności zawdzięczamy bardziej trzeźwy pogląd na ten niezbyt chwalebny wiek wspaniałemu dziełu niedawno zmarłego Aleksandra Brücknera. Oczywiście nie osiągnął ów wiek takiego rozwoju jak Francja, ale z tego punktu widzenia Francja była unikatem, i jeżeli porównamy stan umysłów, jaki przedstawiały na przykład współczesne Niemcy, nie znajdziemy wielkich różnic na niekorzyść Polski. Tutaj, jak i gdzie indziej ważną sprawą była religia: mężem opatrnościowym, który u progu tegoż wieku rządził duszami, był ksiądz i jezuita na dodatek, Piotr Skarga, wspaniała kaznodzieja, do dzisiaj niezrównany, odpowiednik polskiego Savonaroli, ale w służbie religii panującej. Przywołałem tu wiek XVII, mający w Polsce złą opinię, to określenie jest używane w szczególności zwłaszcza w stosunku do zakonu, do którego należał wymieniony przeze mnie kapłan. Nie będę tu podnosił kwestii, która wywołała tyle nieporozumień na całym świecie, ale skoro już przy tym jesteśmy, należy o tym powiedzieć; jeżeli chce się ogólnie potępić zakon jezuitów (co do mnie, jedynie z trudem zgodziłbym się na jakiegokolwiek potępienie) należy zrobić wyjątek dla Skargi; tak czynią ci, którzy go znają, niezależnie od ich przekonań społecznych i politycznych. A Skarga pociąga za sobą wielu innych; kiedy przypomnę sobie ich działalność moralizatorską i charytatywną pośród rozpasanego egoizmu możnych, żal tych, którzy musieli opuścić kraj po kasacji zakonu w 1773 r. Muszę powiedzieć, że chociaż gdzie indziej byli oni słuszenie nienawidzeni, chociaż we współczesnej epoce są przestarzali, pozostawili po sobie dobrą pamięć w Polsce. I kiedy widzę, jak ludzie żegnają się, widząc dom Boży, kiedy słyszę od ludzi prostych powitanie „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, na które trzeba odpowiedzieć „Na wieki wieków”, pozdrowienie, które tak bardzo podobało się zmarłemu papieżowi Piusowi XI, kiedy zdam sobie sprawę z tych wszystkich rzeczy, które ułatwiają niezbyt kolorowe życie

codzienne moich rodaków, tym mniej jestem skłonny do deprecjonowania wychowania religijnego, jakie otrzymali oni w XVII wieku.

Otóż, moralny stosunek Jana Malczewskiego do własnej winy, którą uznał i której żałował, jest owocem tegoż wychowania. W końcu, o co tutaj chodzi? Przed nami dwie możliwości rozwiązania problemu skrucy, jej zasady i skutków. Jedna z nich to rozwiązanie hebrajskie oparte na Starym Testamencie. Według niego nie należy wymagać od pokutującego porzucenia mienia, którego mu dostarczyło przewinienie, ponieważ takie wymaganie przeszkadzałoby pokucie, która jest aktem czysto moralnym, odnajdującym swoją wartość i ujście w samym sercu pokutującego. Zwróćcie uwagę na stosunek Jahwe wobec Dawida, winnego odebrania pięknej Batszeby jej prawemu mężowi. Nie mam zamiaru deprecjonowania odnośnej stronicy z Księgi Królewskiej, jednej z najpiękniejszych w Biblii – ta odpowiedź proroka Natana, którą znacie wszyscy: „to ty jesteś winowajcą” i to, co dalej nastąpiło, skrucy poniżonego króla, pokuta odbyta w worze pokutnym i w popiele. A co potem? – pozwalamy sobie zapytać, czy Jahwe wyraził swą satysfakcję? To właśnie jest punkt decydujący: tak, wyraził swoje zadowolenie, obdarzył na nowo króla swoim błogosławieństwem, nie odebrał mu pożądanej Batszeby, pozostawił mu ją, tolerował to, dopóki nie stała się ona matką największego króla Izraela. Czy religia chrześcijańska akceptuje takie rozwiązanie? Warto porównać wyrzuty sumienia króla Klaudiusza w *Hamlecie* Szekspira (akt III, scena 3). On również odczuwa skruchę, a równocześnie zdaje sobie sprawę, że jego skrucy nie wystarczy.

I jakąż moc modlitwa ma, jeżeli
 Nie tę podwójną, co nas zdola
 Powstrzymać od upadku, albo po nim
 Wyjednać przebaczenie? A więc oczy
 Ku górze zwróć. Grzech mój to rzecz przeszła.
 Lecz jaką mam posłużyć się modlitwą?
 Przebacz mi mój ohydny mord! – To na nic,
 Bo dźwięż nadal te owoce, które
 Kazały spełnić mord – koronę, władzę,
 Królowę. Czyliż można przebaczenie
 Otrzymać, nadal korzystając z grzechu?³

Nie, odpowiada w swojej świadomości – i tutaj jest – powtarzam – decydujący punkt. Życie religijne w Polsce pełne jest tego rodzaju przykładów, każdy wiejski ksiądz mógłby je wam przytoczyć. To są drobne fakty, i o nie najczęściej chodzi: jakaś kradzież – złodziej idzie do spowiedzi i nie otrzyma rozgrzeszenia, dopóki nie potwierdzi swojej skrucy przez fakt zwrotu skradzionego przedmiotu jego właścicielowi i w rezultacie właściciel otrzymuje swoje mienie w sposób tajemniczy. To często się zdarza, mówią o tym czasem gazety, ale zwykle pozostaje to tajemnicą spowiedzi.

W naszym przypadku, jak widzicie, zwrot mienia nie nastąpił. Bóg oczekiwał długo – tak twierdzi oczywiście sam grzesznik. Oczekiwał długo i na próżno, więc go ukarał. I wówczas grzesznik podaje się Bożej sprawiedliwości: prosi o przebaczenie u tego, kogo skrzywdził. Taki jest smutny koniec tej stronicy o miłości *à la polonaise*, jeśli zechcecie mi uwierzyć.

VI

Śmierć odegrała również swoją rolę – surowego i nieprzejednanego sędziego. Pozwólcie teraz Państwo, abym wam ją przedstawił w innej roli. Znacie piękną elegię Schuberta zatytułowaną *Śmierć i młoda dziewczyna?* – elegię, której melodię stworzył w słynnym kwartecie, potwierdzając w ten sposób wartość, jaką jego zdaniem, miała ona dla niego, a także dla innych. Chciałbym ją tutaj przedstawić właśnie w tym aspekcie. Tylko osoba, którą chciałem wam przedstawić nie jest młodą dziewczyną. Wprost przeciwnie, nie wydaje mi się nawet, żeby sobie przypominała, że nią kiedykolwiek była. Jest to stara chłopka, jedna z tych, dla której w Polsce, i o ile wiem, w całym świecie słowiańskim, wymyślono lekko pogardliwe określenie „baba”. Była to więc „baba”, a co więcej, żebraczka.

Nawiasem mówiąc, osoby, o których mówiłem w poprzednich rozdziałach, istniały w rzeczywistości, byli to rodzice poety Antoniego Malczewskiego, jak powiedziałem, korzystałem z ich biografii. Ta natomiast, o którą chodzi obecnie, jest wytworem wyobraźni jednego z naszych najslawniejszych pisarzy – Władysława Reymonta. Ale to nie umniejsza bynajmniej jej wartości, wziąwszy pod uwagę, że realizm tego pisarza stanowi gwarancję postaci przez niego stworzonych. Proszę więc o poważne potraktowanie dokładnego sensu tego, o czym będę teraz mówił. Jednym słowem odpowiadam za prawdomówność Reymonta w tym, co dotyczy owej starej żebraczki i jeżeli spytacie dlaczego, odwołam się znowu do owej magicznej pałeczki, którą noszę w sercu. Drżała ona najmocniej, jak to możliwe, kiedy czytałem w czwartym tomie *Chłopów* opis spokojnej i lekkiej śmierci starej Jagaty, gdyż taka jest forma imienia w gwarze wiejskiej. I dzięki owemu drzeniu pozwałam sobie rzucić na ten sam ekran prawdziwość tych dwóch stron, którym poświęcam to studium: stronicy o miłości, z małżonkami Malczewskimi jako bohaterami, i stronicy o śmieci z tym pokornym stworzeniem, jakim była Jagata Reymonta. Są one obie, wiezcie mi, na wskroś polskie.

Stara Agata nie miała dzieci. Nie chcąc być obciążeniem dla swoich bliskich krewnych – pod tym względem jest trudno na wsi – miała obyczaj korzystać z odpowiedniej pory roku, aby wyruszać w okolice na żebry. Otóż w Polsce ludzie są miłośnikami. Kościół wymaga od swoich wiernych czynów miłosiernych,

a nasza stara wyglądała sympatycznie i skromnie. Dawano jej chętnie, a ona wracała do siebie z sakiewką pełną drobnych monet, co sprawiało, że była mile widziana u swoich krewnych, którzy dawali jej schronienie, co prawda dość marnie, przed chłodem zimy. Z nadejściem wiosny zaczynała na nowo. Drobne prezenty dla dzieci, a nawet dla gospodarzy przywracały równowagę ekonomiczną, ale żebraczka nie zapominała także o sobie. Owocami jej oszczędności była raz prosta spódnica, ale czysta, innym razem czepek, innym razem para butów. Nigdy tych rzeczy nie nosiła, nawet w niedzielę, składała je w swojej skrzyni, pozostawianej pod opieką jej gospodyni, kiedy miała ochotę zająć się na nowo swoim zawodem żebraczki, zawodem przynoszącym zyski, jak na warunki, w których żyła, nawet prawie honorowym. W końcu przyzwyczajono się do tego: Agata wyruszała wraz z powrotem jaskółek, a wracała w czasie ich odlotu; powtarzało się to z regularnością pór roku.

Oczywiście nie mogło to jednak trwać wiecznie: Agata zestarzała się i przyszedł czas, kiedy jej nogi nie nadawały już się do forsownego marszu i musiała więc pozostać we wsi mimo sezonu. Młody seminarzysta, pomocnik księdza, odkrył ją raz w chacie, która służyła jej za schronienie, w sieniach koło proga. Po jakimś czasie zawołała do niego.

„– Dyc to ja, Jagata! (...) Jezu [...].

– Leżcie spokojnie. Chorzyście, co? [...]

– Jeno już Pańskiego miłosierdzia czekam – głos je zabrzmiał uroczyście.

– Cóż wam jest?

– A nic, śmierć se we mnie rośnie i na żniwo czeka. Klęby me ano przytuliły, bym se u nich pomerła, to pacierz mówię i wyglądam cierpliwie onej godziny, kiej kostucha zapuka i powie: pódzi, duszo umęczona.

– Czemuż do izby was nie przeniosą?

– Hale, póki nie pora, to cota bede im zbierała miejsce... [...] Ale mi przyobiecały, że na tę ostatnią moją godzinę to me przeniosą do izby, na łóżko pod obrazy, i świecę mi zapalą... i księdza sprowadzą... a potem we świąteczne szmaty me przyobleką i pochówek sprawią gospodarski. Jużci, dałam na wszystko... a ludzie poczciwe sieroty może nie ukrzywdzą [...] – i przy świadkach mi przyobiecały, przy świadkach. [...]

A nocami też do mnie przychodzą, jużci... a niejedne ... [...] A kiedyś – szeptała z uśmiechem nieopowiedzianego szczęścia i słodyczy – to przyszła do mnie Panienska i powiedziała cichusko: „Leż se, Jagato, Pan Jezus cię wynagrodzi!...” Sama Częstochowska, zaraz poznałam... w koronie ano była, w płaszczu, a cała we złocie i koralach. Pogładziła me po głowie i rzekła: „Nie bój się, sieroto, gospodynią se będziesz, dziedziczka...”⁴

Kilka dni później ten sam Jasio, tak mu było na imię, przechodził znów tędy; tym razem usłyszał jęki dochodzące z sieni. Była to Agata, była sama, inni pracowali w polu. Przeniósł ją do izby, odzyskała świadomość, otworzyła załzawione oczy:

– „Dyc już kończę, Paniczku – uśmiechnęła się kiej rozbudzone dziecko. Chciał bieczyć po księdza, przytrzymała go za sutannę.

– Panienska mi dzisia rzekła: „Gotuj się na jutro, duszo umęczona!” Mam jeszcze czas, paniczku! Jutro... [...]

Zajrzał do niej dopiero po południu. Leżała w łóżku całkiem przytomna, skrzynka stała przy niej na ławie, wyjmowała z niej stygnącymi rękami wszystko, co se była nagotowała na tę porę ostatnią: czystą płachtę pod siebie i świeże obleczenie na pościelu, wodę święconą, całkiem jeszcze dobre kropidło i spory kawał gromnicy, i obrazek Częstochowskiej do ręki, i nową koszulę, suty wełniak, czepek bujnie ururkowany nad czołem, wraz z chustą do zawiązania, i zupełnie nowe trzewiki, wszystko śmiertelne wiano, uźebrane przez życie, rozłożyła koło siebie, ciesząc się każdą rzeczą i chwając przed kobietami, zaś czepek nawet przymierzyła i przejrawszy się w lusterku szepnęła szczęśliwa:

– Będzie galancie, na sielną gospodynię patrzę. [...]

Nazajutrz zażądała by ją ubrali, tak jak sobie wyobraziła, następnie nalala wody święconej na talerz, położyła na nim kropidło tak, jak należy, następnie poprosiła, żeby sprowadzono księdza. Ksiądz przyszedł z Panem Jezusem, przygotował ją na ostatnią godzinę i wyszedł, przykazując Jasiowi, by pozostał do końca, bo sam gdzieś śpieszył. Agata jeszcze długo zachowała pełną świadomość. Trzymała w ręku swój różaniec, i powtarzała modlitwy za umierających, które Jasio czytał w swoim brewiarzu. Od czasu do czasu żegnała się z ludźmi przychodzącymi do chałupy lub dawała parę groszy dzieciom cisnącym się w sieniach i pod oknem: „Naści, a zmów paciorek za Jagatę”.

A potem już całe godziny nie odzywała się do nikogo. I leżała se godnie, po gospodarsku, na łóżku, i pod obrazami, jak se była roiła przez całe życie. Leżała pełna cichej dumy i nieopowiedzianej szczęśliwości, radosne łzy siwiły się w jej oczach [...] A w jakiejś minucie, gdy dzień miał się ku schyłkowi, a izbę zalewały czerwone zorze zachodu, wstrząsnęła się gwałtownie, usiadła i wyciągnawszy ręce zawołała mocnym, a jakoby cudzym głosem:

– Pora już na mnie, pora.

I padła na wznak. [...]

„Buchnęły płacze, poprzyklękali kole łóżka, Jasio jął czytać modlitwę za konających, Kłębowa zapaliła gromnicę, umierająca powtarzała za Jasiem, ale coraz słabiej, coraz bełkotliwej, oczy jej niby ten dzień letni znojami utrudzony, twarz grążyła się w tuman wiecznego zmierzchu, wypuściła gromnicę i skonała.”

W ten sposób, dodaje nasz powieściopisarz,

„pomarła se [godnie] ta dziadówka. kieby najpierwsza we wsi, a Jambroz, któren akuratnie zdążył na sam koniec, zawarł jej oczy, sam Jasio zmówił za nią gorący pacierz i cała wieś przychodziła się modlić przy jej zwłokach, popłakać, a zazdrośnie się dziwować szczęśliwej śmierci i lekkiemu skonaniu”⁵.

Godnie – rzeczywiście to prawda. Ale zastanówmy się, skoro już tu jesteśmy, skąd pochodzi owa godność?

Odpowiedź nie jest taka zupełnie prosta. Powróćmy do kontrastu, o jakim wspomniałem na samym początku tej części mojego studium: przypomniałem Państwu elegię Schuberta *Śmierć i młoda dziewczyna*. „Młoda dziewczyna” – to mówi samo za siebie. Będąc młodą ma ona wszelkie prawa biologiczne do długiego życia, nie mówiąc już nic o rodzicach, koleżankach, narzeczonym, którego chętnie sobie wyobrażamy przy niej. Tutaj – nic podobnego – chodzi o staruszkę. Przyjmując termin „prawa biologiczne”, jakim się przed chwilą posłużyłem, należy się zgodzić, że nasza Agata utraciła swoje już dawno.

Będąc nawet racjonalistami, przypuszczam, że w tym momencie nimi jesteśmy, będziemy skłonni przyznać moralne prawo do istnienia, to znaczy do życia w taki, czy inny sposób, na koszt innych, osobom starszym, których praca była lub jest użyteczna dla społeczeństwa. Ale to nie jest przypadek naszej Agaty, z takiej czy innej przyczyny – w tym względzie nie jesteśmy poinformowani, ona nie pracuje, ale żebrze. Innymi słowy jest niepotrzebna. Wynika stąd, z racjonalistycznego punktu widzenia, że nie ma ona żadnego prawa moralnego do istnienia. [...]

To już koniec rozumowania na temat śmierci Agaty: żebraczka – niepotrzebna – zmarła; jest to jedyna rzecz użyteczna, jaką mogła zrobić.

Ale oto inna siła przeciwstawia się rozumowi. Jest ona dość starej daty: znajdujemy jej określenie u filozofa chrześcijańskiego Laktancjusza (div. inst. VI,11.18) w jego polemice z racjonalizmem Cyserona w sprawie dobroczynności. Filozof pogański protestował przeciwko „largitio”, przesadnej hojności, ograniczając prawdziwą dobroczynność do ludzi użytecznych. A więc, pyta filozof chrześcijański, co robimy z tymi, którzy są uważani za bezużytecznych? Przeciwnie, to ich musisz wspierać, ponieważ bez twojej pomocy musieliby umrzeć. Być może, będą oni bezużyteczni dla ludzi, ale kto wie, czy nie będą oni użyteczni dla Boga? Antyteza jest, jak widzicie, rozstrzygająca; to, co daje Agacie prawo do życia to religia chrześcijańska. Jałmużna, którą otrzymuje od przechodniów, to, jak dowodzi etymologia, „elemosyne” z Grecji chrześcijańskiej. I jeżeli Agata ma prawo żyć, lepiej czy gorzej, to zawdzięcza to wychowaniu religijnemu, wychowaniu, jakie otrzymał naród polski.

Czy tylko on? Jestem daleki od takiej zarozumiałości, system pomocy dobroczynnej jest właściwy całemu chrześcijańskiemu światu. I jeśli moja pałeczka magiczna, użyta wobec Agaty drżała, to nie z powodu tej jednej cechy, to odnosi się do wszelkich wyznań chrześcijańskich.

W społeczeństwie chrześcijańskim, i tylko, osoba typu Agaty miałyby w pełnym sensie zapewnione ostatnie dni swojego życia, to znaczy zapewniono by jej miejsce w przytułku dla ubogich, gdzie mogłyby umrzeć w sposób godny i być pochowaną w przyzwoity sposób, pozostawiając swoje łóżko innej osobie tej samej kategorii. Otóż mogli się Państwo przekonać, że przypadek naszej Agaty był zupełnie inny.

Pozwólcie, że przypomnę charakterystyczne akcesoria. Czym różni się woda święcona na talerzu z kropidłem od innej wody? Z punktu widzenia chemii zupełnie niczym. A czym różniła się gromnica, którą trzymała w słabnącej ręce, od innej świecy? Nie mówiąc już o zupełnej zbyteczności tych rzeczy wobec nieuchronnej śmierci. [...] Wyobraźcie sobie jakiegoś niedowiarka wśród osób ją otaczających. Do czego to wszystko potrzebne, powiedziałyby do niej za jednym z bohaterów Emila Zoli. Po co komplikować niepotrzebnie akt, którego masz dokonać, lub raczej, który, czy tego chcesz, czy nie, sam się dokona, wyciągasz nogi i umierasz, to wszystko.

To jeszcze nie wszystko, proszę sobie przypomnieć stan psychiczny tej „duszy umęczonej”, jak sama nazywa, widzenie, które wydawało jej się, że miała, Najświętszą Marię Pannę, która ją nawiedziła, i to nawet, jeśli zechcemy w to uwierzyć, dwa razy, zapowiadając jej bliską śmierć. Nie wątpię, że moglibyśmy znaleźć psychologiczne wyjaśnienie tych zjawisk, lub raczej, mówiąc nowocześniej, psychoanalityczne, ale tym razem byłaby to strata czasu. Agata widziała ją w sennych marzeniach, słyszała jej pocieszające słowa, czuła jej rękę na swojej rozpalonej głowie – dla niej to wszystko jest rzeczywistością, i możemy być pewni, że również dla tych, co ją otaczali. Ale jeśli tak, to śmierć przestaje być zwykłym zgonem – to jest akt, tak, akt, którego dokonuje, i do którego przygotowywała się przez całe życie. I mając na uwadze ten akt, poświęciła całe swoje oszczędności na znane nam akcesoria: suknie, ozdoby i resztę – chciała spotkać się godnie z Chrystusem, który miał ją powołać do siebie. Słowem, śmierć, jakiej się spodziewała, nie była śmiercią, było to święto, wielkie święto jej bolesnego życia, możemy zaryzykować słowo – wniebowzięcie.

Przede wszystkim, to ona odczuwała ją w ten sposób: stąd wyraz szczęśliwości, którą wyrażały jej rysy, coraz bardziej promieniujące radością wobec nadchodzącej śmierci. Ale to uczucie, to przekonanie udzielało się całkowicie również świadkom tej wzniosłej sceny, którzy podziwiali – nasz powieściopisarz nie zapomniał odnotować tego szczególnego rysu – nie bez pewnej zazdrości tę „szczęśliwą śmierć i lekkie skonanie”. Grecja starożytna przekazała nam piękne określenie, wyrażające to, co przed chwilą podkreśliliśmy – „eutanazja”.

Nie będę tu się zastanawiał nad kwestią, czy owa eutanazja jest możliwa w innych warunkach niż te, które opisał Reymont; pogańskie pochodzenie tego słowa wydaje się wskazywać, że może mieć ona miejsce również w społeczeństwach innych niż chrześcijańskie. Ogólnie mówiąc nie wygłaszam tutaj apologii w tym typowo opisowym studium. Ale co do eutanazji, o którą tutaj chodzi, mam prawo zapewnić, że rozgrywa się ona w środowisku więcej niż chrześcijańskim, to jest środowisko katolickie. I jeżeli rozpoznaję w całości tego, co przed chwilą analizowałem, charakter typowo polski, to znowu z powodu wychowania religijnego, chrześcijańskiego i katolickiego, które, jak sądzę, nasz naród otrzymał.

X

Teraz, kiedy wystarczająco podkreśliłem polski charakter moich obydwu stronic omówionych oddzielnie, pozwólcie Państwo rozszerzyć ten temat, przybliżając jedną do drugiej. „Stronica o miłości” mówiła o występku w miłości odkupionym przez skruchę; „stronica o śmierci” – o eutanazji, umożliwionej przez symbolikę religijną. Czy te dwa motywy istniały przed chrześcijaństwem? Oto pytanie, na które chciałbym odpowiedzieć.

Co do skruchy, wspomniałem już o tym przeciwstawiając rozwiązanie hebrajskie rozwiązaniu uznawanemu przez religię chrześcijańską. Tam Dawid i Batszeba – skrucha bez zobowiązania zadośćuczynienia materialnego, które mogłoby hamować proces moralny, tutaj zaś król Klaudiusz i królowa Gertruda – zbrodniczy król zdaje sobie sprawę, że jego skrucha traci całą swą wartość z powodu niemożliwości wyzbycia się tego, co zyskał wskutek swojej zbrodni. Tak więc moralność chrześcijańska została zaszczerpiona na gruncie antycznym: jaki był więc stosunek świata antycznego do sprawy skruchy? Ponieważ niewątpliwie ta kwestia powiązana jest ściśle ze sprawą sumienia, możemy również zapytać: jaki był jego stosunek do sprawy sumienia?

Wobec postawionego problemu muszę na samym początku wytknąć błąd moim kolegom filologom, błąd wynikający zresztą z ich filologicznego charakteru: są oni bardzo skłonni ograniczać historię sumienia do historii powyższego słowa. Jakie jest znaczenie słowa „conscientia”, od którego pochodzą analogiczne słowa w językach współczesnych? Etymologia wskazuje, że jest to tajemnicza siła w naszej duszy, która „zna wraz” z nami czyn występny, który popełniliśmy. „Con”, to po grecku „syn”, „scire”, wiedzieć, pozostaje w związku z greckim „eidenai”; „conscientia” jest więc dokładnym tłumaczeniem greckiego „syneidesis”, słowa mało używanego w klasycznej grece, ale jest ono spokrewnione z czasownikiem „syneidenai”, w imiesłowie „syneidos”, który ma podobne znaczenie. Pierwszym – przynajmniej dla nas – u którego spotykamy te terminy,

jest poeta tragiczny Eurypides. Czyżby więc jego powinniśmy uważać za odkrywcę ludzkiego sumienia? W tym, co dotyczy terminu – być może tak (ponieważ nie należy zapominać, że znamy bardzo słabo jego poprzedników), ale co do samej sprawy, należy sięgnąć dużo głębiej.

Czwarta księga *Iliady* jest poświęcona zbrodni Pandarosa: powodowany nadzieją otrzymania pięknej nagrody ze strony Parysa, ranił Menelaosa strzałą podczas rozejmu. Nikt tego nie zauważył, z wyjątkiem jego najbliższych towarzyszy a ci, oczywiście, nie zdradzą go. Ale bogowie udaremniili sukces jego haniebnego czynu. Menelaos jest ranny, ale nie jest zabity. To go zastanawia. W następnej księdze widzimy go w stanie psychicznym godnym pożałowania, ale poeta nie wyjaśnia wprost przyczyny owego stanu – jedno z „homeryckich niedomówień” – ale napomknienia wypowiedane nie wprost wystarczą, abyśmy mogli dokładnie zgadnąć, bez cienia wątpliwości. Zdrajca czuje obrzydzenie do swojego łuku, narzędzia swojej zbrodni, jest rozczarowany poparciem bogów, którzy udaremniili jego zamach na Menelaosa; jeśli tylko pozwolą mu oni wrócić do jego dalekiej ojczyzny, oczywiście i tego nie jest pewny, rzuci do ognia łuk, który go zawiódł. Ależ tak, miał zupełną rację, kiedy wąpił w swój powrót: tego samego dnia zginie od włóczni Diomedesa. Sama Atena pokierowała tym ciosem: włócznia, zanim zagłębiła się w jego gardle, odcięła mu przeniewierczy język, którym wypowiadał przysięgę dochowania rozejmu.

Zaznaczyłem już, że Homer nie znał ani jednego słowa oznaczającego „sumienie”, ani też, należy dodać, pojęcia skruchy. U niego znajdujemy problem, a nie termin.

XI

Co do terminu, wymieniłem już tego, który stanowi dla nas, powtarzam, pierwsze świadectwo: Eurypidesa; termin ten znajduje się w słynnym fragmencie jego *Orestesa* (w. 396). Menelaos spotyka tam swojego siostrzeńca, Orestesa – matkobójcę. Uderzony jego żalosnym wyglądem pyta, jaka go gnębi choroba. „Moje sumienie” [he synesis] – odpowiada mu nieszczęśnik – zdaję sobie sprawę, że popełniłem czyn okropny”. *Orestes* jest jedną z ostatnich tragedii poety. Natomiast co do skruchy, to jest to jedna z pierwszych tragedii, jaką poświęcił temu problemowi, pierwsza także, której zawdzięcza znaczne powodzenie, po zglubnej porażce *Plejad*. Tragedią, którą w tej chwili mam zamiar rozpatrywać, jest *Ino*, której bohaterka, „Ino żalosna” – *flebilis Ino* – była znana jeszcze w czasach Horacego.

Jako żona Atamasa i królowa Orchomenos zabłądziła wskutek przygody dionizyjskiej i kiedy w końcu wróciła po latach nieobecności, spostrzegła, że jej mąż i jej tytuł są w rękach innej, Themisto, i oto stała się niewolnicą

w swoim własnym domu. Ale nowa królowa, matka dwojga dzieci, nie czuje się bezpieczna, dopóki żyją dwaj synowie Ino. Chce więc skazać ich na śmierć, a niewolnica udziela jej pomocy, ale tak układają sprawy, że zła macocha zabija przez pomyłkę swoje własne dzieci, w wyniku czego popełnia samobójstwo. A więc wszystko niby dobrze się kończy, nieprawdaż? Czy jednakże Ino może zostać uznana i odzyskać swoje dawne prawa małżonki i królowej? Ależ nie: „Ach, gdybym mogła tak jak wcześniej zamieszkać w domu Atamasa, nie popełniwszy tego, co popełniłam” – takie były, według Plutarcha słowa skruszonej Ino. Poeta chciał właśnie nam przedstawić tragedię na temat skruchy; po przytłumionej boleści zdrajcy Pandarosa w *Iliadzie*, po krótkotrwałych żalach Klitajmestry u Ajschylosa, po raz pierwszy w świecie antycznym siła moralna przejawia się w sposób jasny i bezpośredni.

Czy skrucha ta obejmuje również satysfakcję? Pozornie: Ino chciałaby żyć w domu Atamasa nie jak w swoim własnym, jak poprzednio, ale jako niewolnica – rezygnuje z wielkości, którą zawdzięcza zbrodni. Satysfakcja nie jest jednakże możliwa – bogowie narzucają jej ekspiację. Tutaj wystarczy, żeby poeta dokładnie posłużył się mitem, który przedstawia ją w sposób straszny. Atamas, który oszalał, prześladowuje swoją żonę i dwóch młodocianych synów, zabija starszego, a nieszczęśliwa Ino, nie chcąc utracić młodszego, rzuca się z nim do morza.

Ale czy na tym koniec? Nie, po odbyciu pokuty następuje apoteoza. Fale nie uczyniły krzywdy matce i jej dziecku – życzliwie przyjęta przez bogów morskich staje się boginią, Leukoteą, „białą boginią”, matką Palemona, patronką rozbitków taką, jaką zna *Odyseja* w piątej księdze.

Mimochodem wzmiankowałem jedynie krótkotrwałe żale Klitajmestry u Ajschylosa, to znaczy w jego *Agamemnonie*. Rzeczywiście, pojawienie się jej kochanka, nikczemnego Ajgistosa, na nowo wepchnęło ją w otchłań zbrodni. Ale chociaż są one jedynie chwilowe, nie pozostają jednakże bez znaczenia. Zawierają element, o który chodzi w tym studium – motyw koniecznej satysfakcji, przeciwny do rozwiązania hebrajskiego. Kiedy przez zabójstwo swojego męża Klitajmestra została absolutną władczynią królestwa Atrydów, odkrywa, że była dotąd jedynie narzędziem w rękach złego ducha rodu. To odkrycie pohamowuje jej dumę. „Wypowiedziałeś w końcu prawdę” mówi do chóru, który podpowiedział jej tę myśl. „Przynajmniej chcę zawrzeć przymierze z geniuszem Filistenidów (nazwa rodu), a obecnie poddać się, niezależnie od jego siły, byle tylko opuścić ten dom, aby dręczyć inny ród domowymi zbrodniami. Najmniejsza częśćka bogactw tego pałacu wystarczy mi, gdyby udało mi się wygnać z pałacu to szaleństwo wzajemnych zbrodni” (w. 1567).

Rozszerzając temat „stronicy o miłości *à la polonaise*”, zgodnie z tym, co powiedzieliśmy, wyeliminowaliśmy elementy, które nadawały charakter narodowy bolesnemu dramatowi Malczewskiego. Badając ten temat aż do najodleglejszej starożytności, pragnęliśmy podkreślić elementy ogólnoludzkie, które wynosiły go, jeśli nie na szczyty moralności ogólnej – przypominają sobie Państwo ważne zastrzeżenie, jakie uznałem za stosowne tu wypowiedzieć – to przynajmniej moralności europejskiej. Skoro zostało to powiedziane, możemy przejść do następnej stronicy – „stronicy o śmierci”. Pozwólmy temu tematowi przejść taką samą metamorfozę. Zwróćmy uwagę na rozwój siły, o którą tutaj chodzi – to nie będzie śmierć, jako taka, ale raczej jej odzwierciedlenie w umyśle ludzkim. Popularny charakter mojego studium zwalnia mnie od obowiązku skrupulatnego notowania rozmaitych etapów tejże ewolucji, wybrałem cechy najbardziej wyraziste i zbieram je wszędzie, gdziekolwiek się pojawiają. Ze względu na brak czasu, zacznę od końca, to znaczy od koncepcji, do której ma zaprowadzić ewolucja rozwijająca się w pewnym kierunku – w tym, który pozbawia śmierć wszystkich akcesoriów, o których wyżej wspominaliśmy i ujmuje ją w tym, co pozostaje.

Tę koncepcję możecie znaleźć u różnych autorów, filozofów i dyletantów, co do mnie żałuję, że zapomniałem nazwiska tego, którego wyznanie, bowiem to było wyznanie, wywarło na mnie największe wrażenie. To był autor socjalistyczny, bez wątpienia dyletant i niezwykle szczery. Jego artykuł pozbawiony był pretensji filozoficznych i to, co stanowiło jego wartość, nosiło tytuł: „prerażająca śmierć” (*vom furchtbaren Tod*). Groźna, straszna, przerażająca – tak mu się przedstawiała, a on zaś walczył przeciw jakiegokolwiek próbie odebrania jej tego charakteru. Odlóżcie na bok wszelkie wybiegi religijne i laickie – pozostaje ona taką, jaka jest: groźna, straszna, przerażająca. Czy ta koncepcja, to koncepcja wolnomyśliciela, współczesnego niedowiarka? Nie, przeczytajcie Lukiana z Samosaty, znajdziecie ją w całości. Śmierć to nicość, rzecz, do której wszystko zmierza, to szyderczo uśmiechnięta trupia czaszka, i jedyną postawą godną poważnego człowieka jest naśladowanie owego szyderstwa poprzez kpiny z tych, którzy nie chcą tego zaakceptować. Oto, nieprawdaz, krańcowe zaprzeczenie postawy Agaty, błogiego uśmiechu tej biednej żebraczki na łożu śmierci.

Możecie sięgnąć jeszcze dalej – mam na myśli niezapomniane słowa, którymi cień Achilleasa z krainy umarłych zwraca się do Ulisseasa, który przybył tam na jakiś czas:

Odysie! ty chcesz w śmierci znaleźć mi pociechę?
 Wolałbym do dzierzawcy iść pod nędzną strzechę
 Na parobka i w roli grzebać z ciężkim znojem,
 Niż tu panować nad tym cieniów rojem! (Od. XI, w. 376–379)⁶

Ta godność królewska zmarłego herosa nie powinna nas zwieść – woli od niej mimo wszystko los największego biedaka na ziemi. Tam bowiem jest życie: tutaj jest nicość. Rozpoczynając więc Homerem, kontynuując Lukianem i kończąc „myślicielem” socjalistycznym, który jest jedynie przykładem, ukazuję wciąż ten sam aspekt. Nie można tu nawet mówić o ewolucji: szyderczo uśmiechnięta czaszka nie ewoluuje.

Dodajmy, że to rozwiązanie problemu nie jest nawet rozwiązaniem hebrajskim. „Przeto jednaki jest koniec człowieka i bydła, i równy stan obojga: jak umiera człowiek, tak i one umierają, i jednakie tchnienie mają wszystkie, i nie ma człowiek nic więcej nad bydło; wszystko podlega marność” – mówi Eklezjastes (3, 19–20). Żadnego życia po śmierci, żadnego kontaktu między żywymi i umarłymi, żadnego kultu zmarłych. Jeśli epoka machabejska wprowadziła tu jakieś zmiany, było to przenikanie idei greckich, które krążyły wokół Judei, ale jeszcze nie były decydujące. Nie, dla prawdziwego Żyda, Żyda z Tory, sens życia leżał w samym życiu, życiu ziemskim; żyło się lepiej lub gorzej, ale to, co czekało na końcu, to szyderczo uśmiechnięta czaszka. Czyniono również wszystko, co możliwe, by nie spoglądać na nią.

Czy człowiek miał jakąś przewagę nad zwierzęciem? Przeciwnie, ono ma nad nim przewagę. Zwierzę bowiem nie ma zdolności spoglądania poza śmierć, by ujrzeć to straszliwe widmo. Niech więc człowiek usiłuje je naśladować jak tylko może.

XIII

To, co przed chwilą naszkicowałem, jest tylko jedną gałęzią ewolucji, która nas tutaj interesuje, jeśli tylko można nazwać ewolucją stan, który jest statyczny od samego początku aż do czasów współczesnych. Druga gałąź to ta, która rodzi idee przeznaczone do uwolnienia ludzkości od koszmaru, o którym przed chwilą mówiłem. To ona właśnie doprowadziła do wykreowania postaci Agaty Reymonta, ale drogą dość długiej ewolucji. Powiedziałem „drogą ewolucji”, tutaj rzeczywiście można o tym mówić.

Może się wydać dziwne, że tutaj tak samo należy rozpocząć od Homera, który przedstawia nam oprócz swojego Hadesu, przeznaczonego dla wszystkich, jeszcze Pola Elizejskie, rodzaj raju ziemskiego, przeznaczonego dla wybranych, którzy nie zakosztowali śmierci. Te dwa zastrzeżenia odbierają tej koncepcji, to prawda, całą wartość moralną. Raj istnieje, ale po co, skoro wiem, że żadne bohaterstwo, żadna cnota mi go nie otworzy? Jest on jedynie dla wybrańców: synów lub zięciów bogów, istot, nad którymi śmierć nie ma władzy, no tak, i tak wiem, że nie jestem jednym z nich.

Mimo to, ta idea była zbyt piękna, by się nie rozprzestrzeniać. Odnajdujemy ją w idei Wysp Szczęśliwych u Hezjoda, w górze Hiperborejczyków, która to koncepcja odżyła w średniowieczu pod nazwą Montsalvage. I równocześnie dostępność raju zwiększa się: jest on oczywiście dla wybrańców, ale krąg tych wybrańców powiększa się. Wyspy Szczęśliwe? Jupiter przeznaczył je dla ludzi pobożnych, powie później Horacy; a góra Hiperborejczyków? Apollo przeniósł tam króla Krezusa w nagrodę za jego pobożność, powiedziała wyrocznia delficka. Ta sama wyrocznia zaleciła specjalny kult herosów, w sensie sakralnym geniuszów opiekuńczych rodzin i miast, tworząc w ten sposób krąg śmiertelników powołanych do życia uprzywilejowanego w innym świecie, zresztą nie zajmując się szczegółami dotyczącymi tego życia, jednakże ci herosi byli potężnymi i szczęśliwymi istotami. Chciałoby się wiedzieć, jakie zasługi mogłyby otworzyć śmiertelnym dostęp do ich kręgu, ale tutaj wyrocznia delficka nie dała satysfakcjonującej odpowiedzi. To była sprawa bogów wszechmocnych.

Druga odpowiedź, której Delfy nie udzieliły, dotyczyła szczegółów życia pozagrobowego osób wybranych, są to tajemnice, które zrodziły misteria eleuzyjskie, zwłaszcza te związane z Orfeuszem. Raj był dla dobrych, piekło dla tych, którzy są nieuleczalnie źli, czyściec dla tych, którzy mogą się poprawić. To prawda, że misteria zakładają jeszcze jeden warunek dla uzyskania obiecanego zbawienia: to inicjacja. Ale inicjacja to rytuał, nie doktryna. W chrześcijaństwie rytuał związany z inicjacją to chrzest; z tą modyfikacją doktryna misteriów mogła przejść bez trudności do nowej religii, i tak też się stało.

Muszę jeszcze zaznaczyć, że w przeciwieństwie do Homera i Hezjoda, w przeciwieństwie również do arystokratycznej religii Delf zbawienie, obiecanie przez misteria, nie było jedynie kategorią dla wybranych. Nie, poza inicjacją i cnotliwym życiem nie było innych warunków. Oto pieśń wtajemniczonych („mystes”) u Arystofanesa.: „Jedynie dla nas świeci słońce roztaczając wesoły blask” – jest to raj religii misteriów – „dla nas wszystkich, którzy jesteśmy wtajemniczeni i prowadziliśmy pobożne życie wobec cudzoziemców i prostych ludzi” (*Żaby*, w. 454 ss.). Jak widzicie, żadnej elity, nasza Agata mogłaby tam również przejść, z jedną poprawką, że należała ona do ludzi prostych, którym bogini misteriów udzieliła swego błogostawieństwa. Ale to jeszcze nie wszystko.

XIV

„Wszystko, co przemijające, jest tylko parabolą” mówi Goethe w swoim naprawdę „mystycznym” chórze *Fausta*. Religia, jako iskra boża w umyśle ludzkim, jest również przemijająca, ona również jest tylko parabolą. Ludzkość widziała, jak przemijały religie w przeszłości, widziała jak powstawały nowe, na miejscu tych, które przeminęły. Religie zwracają się do naszego umysłu za

pomocą parabol, parabola słowna jest jedną z nich, ale nie wyklucza innych, które nawet, być może, są potężniejsze od innych. Religia hebrajska nie chciała tego uznać, ograniczając się do paraboli słownej zabroniła paraboli obrazu; oto przytacza słowa Jahwe: „nie uczynisz sobie obrazu ani żadnej podobizny tego, co jest na niebie, w górze, ani tego, co jest na ziemi, nisko, ani z tych rzeczy, które są w wodach pod ziemią”. (*Księga Wyjścia*, 20, 4), a niektóre wyznania chrześcijańskie powtórzyły te nieszczęsne słowa. Ale Wilamowitz, wielki filozof, chociaż był dobrym protestantem, przeciwstawia swoim współwyznawcom następujące słowa, których mu zazdroścę: „polecenie prawdziwego Boga brzmi: »uczynisz sobie obrazy i podobizny«. To znaczy, że chociaż był protestantem, spędził swą młodość wśród ludu, który sobie czynił takie obrazy: obrazy Chrystusa, świętych, matki Boskiej, a przede wszystkim Matki Boskiej Częstochowskiej, którą Agata Reymonta trzymała w słabnących rękach, oddając ducha Bogu.

Ewolucja idei śmierci, osiągnąca swój szczyt w religiach misteriów, wymaga również paraboli obrazu, i jeżeli mamy automatycznie miano proroków tym, którzy nam objawiają boskość za pomocą paraboli słowa, nie możemy odmówić tej godności tym, którzy w tym samym celu posługują się parabolą obrazu. Takimi byli w klasycznej Grecji, w momencie jej najwspanialszego rozkwitu, jej najwięksi rzeźbiarze, jak Fidiasz, Poliklet czy Praksyteles; nazwałem ich „prorokami dłuta” i zachowuję ten tytuł, który podpowiada mi sprawiedliwość. Ale kiedy w ewolucji idei boskich nadszedł czas Śmierci, właśnie jeden z owych proroków dłuta, inspirując się swoim uczuciem religijnym, dał jej obraz odpowiadający postępowi osiągniętemu przez religię misteriów. Jest on znany w historii sztuki greckiej pod imieniem Bryaksisa. Żyjąc w IV w. przez Chrystusem, nie mógł poświęcić swojego talentu ani swojej ateńskiej ojczyźnie, ani Olimpii, ani w ogóle żadnemu miastu Grecji właściwej – były one wówczas zbyt biedne, aby zaoferować mu tego rodzaju pracę. Właśnie jedna z bogatych kolonii w Azji Mniejszej, Synopa w Poncie, zamówiła u niego statuę boga, który był w niej przedmiotem szczególnej czci, a ten bóg, to konkretnie bóg śmierci – „śmierć” po grecku jest rodzaju męskiego – Hades. Tworząc posąg Hadesa, Bryaksis musiał połączyć proegzystującą parabolę słowa z ideą, jaką mu sugerowały misteria eleuzyjskie. Według niej, Hades był bratem Zeusa, Bryaksis nadał mu więc rysy tego ostatniego. Według misteriów Hades porwał Korę, córkę Demeter, był to akt przemocy, ale idea spokojnej i dobroczynnej śmierci wpłynęła również na wyobrażenie boga, który ją uosabiał, przekształcając wyraz jego oblicza. Bryaksis skorzystał z tego wszystkiego. Zachował podobieństwo do pana Olimpu, ale złagodził jego rysy; mogliby Państwo mieć zaufanie do uprzejmego wyrazu ust, prawie uśmiechniętych, tego czoła lekko ocienionego włosami, które faliście spływały na nie, smutku, tak, ale smutku miłosiernego i pocieszającego. Na głowie zaś jego umieścił miarę do odmierzania zboża, która miała

podwójne znaczenie. Przede wszystkim Hades, pan podziemi, był rozdawcą ich bogactw; to przez niego życiodajne soki wnikają do zboża, którego ziarna wypełniają miarę. Po drugie, misteria ustaliły znaczący związek między odradzeniem się zbóż i odrodzeniem się Demeter, bogini misteriów była równocześnie boginią zbóż. Ale poza ową miarą, symbolem trudno zrozumiałym dla niewtajemniczonych, Hades Bryaksisa, zapewniając jego twórcy honorowe miejsce wśród proroków dłuta Grecji, był prawdziwym objawieniem eleuzyjskiej idei spokojnej i lekkiej śmierci.

Zresztą, jako bóg Synopy, ów Hades nie cieszył się wielkim uznaniem w Grecji owego czasu; pół wieku później sprawy przybrały inny obrót, po śmierci rzeźbiarza, król Egiptu Ptolomeusz I, kierując się zdaniem swojego doradcy Tymoteusza z Eleuzis – widziacie Państwo, znowu pojawia się Eleuzis – sprowadził statwę Bryaksisa do Aleksandrii i otoczył ją kultem grecko-egipskim pod imieniem Serapisa. Tu nastąpił tryumf, jeden z największych w religii antycznej: począwszy od Aleksandrii, Serapis-Hades królował w całym świecie grecko-rzymskim, liczne zachowane do dzisiaj kopie świadczą o entuzjazmie, z jaką dobra nowina o pogodnej śmierci została wszędzie przyjęta. Serapis, wyrzeźbiona elegia, przypomina nam śpiewaną elegię Schuberta, o której wcześniej wspominałem; ta parabola obrazu dobrze pasuje do paraboli dźwięku, zaś im dwóm doskonale pomaga parabola słowa, ku większemu zbawieniu ludzkości, której wciąż brakuje pocieszających parabol.

Teraz już skończyłem. Zechcą sobie Państwo przypomnieć, że wymieniłem jako typologiczne dla duszy polskiej dwa przykłady, które wam zaprezentowałem: stronicę o miłości prowadzącej do skruchy i stronicę o śmierci dobroczynnej dla umierającego, której zazdrościło otoczenie. Aby podkreślić typowy charakter tych przykładów, opisałem Państwu ich tło: najpierw chrześcijańskie, później ludzkie, w którym się sytuują; jeżeli przez ludzkie rozumiałem w szczególności starożytność grecko-rzymską, tłumaczy się to faktem, że dla nas, Europejczyków, religia chrześcijańska została zaszczerpiona na gruncie religii antycznej. Nie chodzi tutaj o zapożyczenie – często nie rozumiano moich intencji w tej dziedzinie, co zmusza mnie do powtórzenia mojego protestu – nie zapożyczenie, ale ciągłość psychologiczna jasna i niewątpliwa.

Wydaje mi się, że ukazałem Państwu w tym, naturalnie bardzo krótkim, przeglądzie trzy siły napędowe, które składają się na ciągłość naszej kultury, te trzy siły to są: 1) starożytność, 2) chrześcijaństwo, 3) narodowość. Dwie pierwsze stanowią nasze wspólne dziedzictwo, to dzięki tej wspólności możemy siebie uznawać za braci, pochodzących ze wspólnych rodziców; trzecia to ta, która nas różni od drugich, stąd oczywisty morał: zdając sobie sprawę z tego, co nas różni w sercu i w umyśle, nie zapominajcie jednak o tym, co nas łączy. To prawda, że od czasu do czasu w historii ludzkości pojawiają się zaćmienia, które powodują, że zapominamy o tym, co powiedziałem. Ale ta

historia dowodzi nam, że owe zaćmienia – przypuszczam że obecnie takie przechodzimy – są jedynie czasowe, i że słońce mimo wszystko zatriumfuje.

Z francuskiego przeł. Juliusz Gromadzki

Przypisy

¹ J. Ujejski, *Antoni Malczewski. Poeta i poemat*, Warszawa, 1921, s. 12.

² „*Maria*” i *Antoni Malczewski. Kompedium źródłowe*, opracowała Halina Gacowa, Wrocław, 1974, s. 184.

³ W. Szekspir, *Hamlet, królewicz duński*, w przeł. W. Tarnowskiego, Wrocław, 1953, s. 161–162.

⁴ W. Reymont, *Chłopi*, Warszawa 1965, t. III s. 225–226.

⁵ op. cit. s. 262–264.

⁶ Homer, *Odyseja*, w przekładzie L. Siemińskiego, Wrocław, 1953.